

# KEN McCLURE



# UZDROWICIEL



# KEN McCLURE



# UZDROWICIEL

 SAGA  
EGMONT

Ken McClure

# Uzdrowiciel

Tłumaczenie Daniel Zych

Saga

*Uzdrowiciel*

Tłumaczenie Daniel Zych

Tytuł oryginału *Lost causes*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2012, 2022 Ken McClure i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728438183

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

*Większość miejsc i instytucji wymienionych  
w tej opowieści jest prawdziwa,  
ale opisane osoby są fikcyjne.  
Wszelkie podobieństwo postaci  
do prawdziwych osób, żyjących albo zmarłych,  
jest czysto przypadkowe.*

## Prolog

Melissa Carlisle, córka lorda i lady Penningtonów, żona parlamentarzysty Johna Carlisle'a, przyglądała się mężowi nad śniadaniowym stołem, jakby sprawdzała coś, na co dopiero się natknęła. Jeśli chodziło o wyrażenie skrajnego niesmaku, wyższe klasy były osobną rasą. Melissa miała wrodzoną zdolność patrzenia z góry, o czym jej mąż – wywodzący się ze skromnej klasy średniej – wiedział aż za dobrze.

– Powiedz mi, że to nieprawda – zażądała bezbarwnym, jednostajnym tonem, dbając o to, by każdą sylabę wymówić powoli i wyraźnie.

– Co takiego, kochanie? – Carlisle nerwowym ruchem odgarnął rzadniejące jasne włosy z czoła. To sprawiło, że żona przybrała jeszcze surowszy wyraz twarzy.

– Co takiego – przedrzeźniała go. – Artykuł w „Telegraph” dziś rano... o zwrocie wydatków za nieistniejącą hipotekę, nałożoną na drugi dom, którego nie masz. Właśnie to.

Carlisle, zażenowany, kręcił się na krześle, jakby spodnie miał pełne mrówek.

– No? – ponagliła Melissa.

– To najwyraźniej jakieś nieporozumienie, administracja sknociła coś po drodze.

– Chcesz powiedzieć, że ten wydumany dom należy do kogoś innego?

– Hm... Nie, niezupełnie... Na pewno pamiętasz, że myślałem o kupnie mieszkania w Londynie, żeby być bliżej Izby...

- Mieszkamy czterdzieści pięć minut drogi od Londynu, a ciebie nigdy nie ma w tej cholernej izbie. Poważnie mówisz, że zadeklarowałeś hipotekę na mieszkanie, które zamierzałeś kupić?

- Zwyczajna pomyłka. Musiałem rozpatrzyć związane z tym koszty. Zapisałem to na jakimś świstku i jakoś to się dostało do mojej deklaracji majątkowej. Przeoczenie, proste i zwyczajne... łatwe do popełnienia. Mój Boże, jestem tylko człowiekiem.

Melissa wpatrywała się w męża przez całe dziesięć sekund.

- Napełniasz mnie niesmakiem.

- Słuchaj, Melisso, to naprawdę pomyłka. Musisz to zrozumieć. Jestem pewien, że oni też to rozumieją...

- Boże, tato miał rację. Ostrzegał mnie od samego początku, że całe to gadanie o przyszłym przywództwie w partii to bzdura. Powiedział, że jesteś tylko przystojną blond marionetką, podstawioną, żeby ściągnąć wyborców w hrabstwach. Że tak naprawdę ktoś inny dyktuje ci, co masz mówić, i pociąga za sznurki. I oto teraz, siedemnaście lat później, jestem żoną chciwego, próżnego drania, którego kariera chyli się ku upadkowi... Nie wspominając już o prezencji. Co zamierzasz zrobić?

- Słuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowana, moja droga, ale to naprawdę pomyłka - upierał się Carlisle. - Zresztą w najgorszym wypadku, jeśli tabloidy zupełnie przekręcą prawdę... Chociaż przecież są jakieś cholerne granice! Wiesz, ci dziennikarze, większość to szumowiny... W każdym razie w najgorszym wypadku może... hm... Tak myślałem... może po prostu, twój ojciec zaoferuje mi jakąś ciepłą posadkę? Powiedzmy... kierownicze stanowisko. Tylko po to, żeby pozwolić nam przetrwać?

- Nie byłbyś w stanie kierować ruchem na jednokierunkowej ulicy.

- Byłem materiałem na przywódcę - stwierdził Carlisle. Uznał, że nie ułagodzi Melissy i nie krył już irytacji z powodu jej napaści. - Moja kadencja, jako ministra zdrowia, była bardzo udana. Wszyscy tak mówią. Dostałem nożem w plecy... Ale wiem o różnych sprawach, o których wtedy nawet nie pisałem. Mają wobec mnie dług.

- Nie dostałeś nożem w plecy. Przegrałeś cholerne wybory przez to, co ty i twoi skorumpowani kumple mieliście zamiar zrobić. I dlatego straciliście władzę na trzynaście lat. A teraz, kiedy ludzie mogli już zapomnieć, wyskakujesz z hipoteką, której nigdy nie było. Chryste, w partii obedrą cię za to ze skóry, jeśli wyborcy nie dobiorą się do ciebie pierwsi.

- Wrobili mnie, mówię ci... ale wiem o sprawach...

Melissa wstała.

- Wyjeżdżam na parę dni. Rzygać mi się chce na myśl, że będę musiała grać oddaną żonę, kiedy nadciągną hieny.

Trzasnęła drzwiami i wyszła z pokoju, zostawiając Carlisle'a sam na sam z myślami. Oni wszyscy byli jego dłużnikami, czas poprosić o parę przysług. Marionetka, patrzcie tylko. Zajmie się tym. Zaczął czytać artykuł w „Telegraph” i zauważył, że raz po raz nerwowo przeczesuje resztkę włosów. Kiedy skończył, cisnął gazetę przez pokój. Podniósł telefon i zaczął wykręcać numery przyjaciół. Dziwne, wszyscy byli nieosiągalni.

*Montrouge, Paryż, 15 lutego 2010*

Anglik wetknął pięćdziesiąt euro w dłoń taksówkarza i wysiadł. Nie zważał na uśmiechy i podziękowania za wyjątkowo hojny napiwek po zaledwie pięciominutowej jeździe ze stacji metra Orleans. Przyjrzał się tabliczkom z nazwami ulic. Kiedy na jednej z nich zobaczył napis: RUE DE BAGNEUX, odprężył się i wyjął kartkę z kieszeni płaszcza. Wpatrywał się dłuższą chwilę w zapisane na niej



liczby, jakby chciał je zapamiętać. Potem odszukał wzrokiem pobliskie drzwi. Pokonał jakieś dwadzieścia metrów, które go od nich dzieliły, i przeszedł przez ulicę. Dom numer 27. Wcisnął czwórkę na domofonie – długie brzęczenie, a potem ciężkie podwójnie szczęknięcie zamka poprzedziły pojawienie się dwucentymetrowej szpary w drzwiach. Jak dotąd, w porządku.

Odnalazł apartament numer 4 na drugim piętrze, nad adwokatem i dentystą, którzy zajmowali dwa mieszkania na pierwszym piętrze. Na drzwiach nie zauważył tabliczki z nazwiskiem, ale obok był dzwonek, więc go nacisnął. Postawił teczkę między stopami i rozluźnił kaszmirowy szal pod szyją. Drzwi otworzył inny Anglik, tęższy i o głowę niższy od przybysza, ale mniej więcej w tym samym wieku – obaj byli dobrze po sześćdziesiątce.

– Jednak nas znalazłeś. Witamy.

Gospodarz wprowadził gościa do wielkiego, kwadratowego, umeblowanego ze smakiem pokoju. Prawie trzymetrowe okna typu porte-fenêtre wychodziły na północ, więc w szary lutowy dzień wpadało przez nie niewiele światła. Kilka eleganckich lamp ustawionych w najważniejszych miejscach pomagało oświetlić pomieszczenie.

– Miło was znowu widzieć – rzucił przybysz, rozpoznając pięcioro ludzi siedzących naprzeciwko siebie na kanapach, które ustawiono po obu stronach marmurowego opalanego węglem kominka. Spośród czterech mężczyzn po pięćdziesiątce, trzech nosiło nazwiska świetnie znane w biznesowych kręgach Zjednoczonego Królestwa, czwartym był wysokiego szczębla brytyjski urzędnik. Towarzyszyła im srebrnowłosa kobieta pod siedemdziesiątkę; jej cera świadczyła o minusach trwającego całe życie romansu ze słońcem.

– Jak podróż?

- Jak zwykle w dzisiejszych czasach.
- Przyleciałeś?
- Air France, z Birmingham na Charles de Gaulle.
- Dobrze. Antonia przybyła z La Motte niedaleko Saint-Raphael, gdzie spędzała wakacje. Nigel i Neil byli już w Paryżu w sprawach biznesowych, a Christopher przyleciał przez Zurych. Giles przyjechał z Bruges, ale przedtem złapał nocny prom ze Szkocji.

- Trafił najgorzej - oznajmił gospodarz.
- To wiele mówi. Nie możemy nawet zaryzykować spotkania we własnym kraju - stwierdził nowo przybyły.

Gospodarz przepaszająco wzruszył ramionami.

- Może jestem nadmiernie ostrożny, ale sądzę, że to nie zaszkodzi po tym, co stało się na początku lat dziewięćdziesiątych. Mieliśmy cholerne szczęście, że wyszliśmy z pokazowej klapy, chociaż po drodze straciliśmy Paula.

Do siedmiu kryształowych dużych kieliszków nalano sherry. Rozdano je wszystkim, zanim rozmowa potoczyła się dalej.

- Pragnę was powitać na pierwszym od lat zebraniu komitetu wykonawczego Grupy Schillera, na którym pojawiliście się w komplecie. Miło być znowu razem, chociaż w cokolwiek dziwacznych okolicznościach. - Gospodarz wzniósł toast i zwrócił się do nowo przybyłego. - Miło nam też gościć nowego członka komitetu. Oczywiście wszyscy śledziliśmy jego postępy w szeregach naszej organizacji i przyglądaliśmy się, jak kieruje własną karierą.

Mężczyzna skinął głową w podziękowaniu.

- Udział we władzach naszej grupy wiąże się, rzecz jasna, z odpowiedzialnością. Jesteście jedynymi, którzy wiedzą wszystko o naszej organizacji i jej strukturze. Jedynymi, którzy dźwigają nadzieje i marzenia naszych

członków o lepszym narodzie. – Wręczył przybyszowi dysk komputerowy. – To się nie może dostać w niepowołane ręce.

– Jestem zaszczycony.

– Zatem do dzieła! Zbliżają się wybory i musimy zrobić to, co do nas należy, zapewnić naszemu krajowi przyszłość. Trzynaście długich lat rządów tej hołoty, Nowych Laburzystów, pogrążyło nasze państwo w chaosie i sprawiło, że stało się ono ledwie namiastką, ruiną tego, czym było niegdyś. Na szczęście los odwrócił karty.

– Nie pójdzie nam łatwo – stwierdził ktoś z grupy. – Rząd zmienił Anglię w kraj w sam raz dla słabeuszy, ignorantów i zboczeńców. Jakby tego było mało, otworzył drzwi dla śmiecia z Europy i spoza niej. Wszyscy są mile widziani w starej dobrej Anglii. Wszystkie śmiecie i ich cholerne rodziny!

– Ponad dekada zmarnowana na ten przerost formy nad treścią.

– Co według wszystkich badań opinii publicznej powinno się skończyć – wtrącił nowo przybyły. – Bo właściwie, to po co tu jesteśmy?

– Jeszcze nie mamy pewności, jak powinniśmy postąpić – przestrzegł gospodarz. – Elektorat mógł się rozczarować co do Browna i jego kompanów, ale nadal jest bardzo podejrzliwy wobec jakiegokolwiek alternatywy. Będzie dobrze, jeśli przez najbliższe kilka miesięcy utrzymamy stały kurs, bez łaszczania się na przynętę i bez głupich wyskoków, ale margines mamy bardzo wąski. Z drugiej strony, kryminalny aspekt skandalu z wydatkami uderza w laburzystów bardziej niż cokolwiek innego. A jeśli ci, których dotyczy, mieliby ujść cało, korzystając z immunitetu parlamentarnego... Hm, będą musieli wywieźć Browna na taczkach.

– Jeden z naszych też jest w to zamieszany.

- Z innej izby. Bogu dzięki to niezupełnie to samo, co kompletna kompromitacja...

- Prawie żałuję Browna - oznajmiła kobieta. - Blair zostawił mu nieprawdopodobny bałagan do posprzątania, a on nie dał sobie z tym rady. Okazał się przeciwieństwem króla Midasa, jeśli mogę to tak ująć.

- Wszystko, czego dotyka... - zgodził się gospodarz. Przerwał, ale po chwili znów zabrał głos. - To jasne, że żadne z nas nie bagatelizuje zadania, ale jak powiedział Konfucjusz: „Podróż licząca tysiąc mil zaczyna się od jednego kroku”, więc przejdźmy do szczegółów. Wszyscy mieliśmy okazję przestudiować propozycję naszego nowego kolegi, a ja chciałbym wyrazić podziw dla czasu i pomysłowości, które włożył on w przygotowanie tego projektu.

W odpowiedzi prowadzący spotkanie usłyszał stłumione okrzyki zdziwienia.

- To zbyt ryzykowne - zaprotestował któryś z obecnych.

- W oryginalnym planie nie ma niczego złego - stwierdziła kobieta. - Zadziałał doskonale. To tylko pech, że ten cholerny dziennikarz wyskoczył w niewłaściwym czasie i wszystko zniszczył. Tym razem będziemy musieli działać ostrożniej.

Rozpoczęła się długa, a miejscami także gorąca dyskusja.

- Czas na decyzję, proszę państwa - zakomunikował wreszcie gospodarz. - Czy przyjmujemy śmiały plan naszego nowego kolegi, czy po raz kolejny próbujemy pójść drogą, którą wyruszyliśmy wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych?

Nowo przybyły westchnął z irytacją, kiedy wszyscy jednogłośnie opowiedzieli się przeciwko jego propozycji.

- Przykro mi - stwierdził prowadzący spotkanie. - Wypróbowany i zaufany, tego oczekujemy.

- Demokracja w działaniu - odparł nowo przybyły z ironicznym uśmiechem.

Gospodarz otworzył dwie butelki szampana Krug i wypili toast za lepszą przyszłość kraju.

Nowy członek komitetu wykonawczego pierwszy zebrał się do wyjścia. Po kolei podał wszystkim rękę i pocałował srebrnowłosą kobietę w oba policzki. Nie pozwolił, żeby gospodarz wstał.

- Doprawdy, Charles, znam drogę.

- Swój chłop - powiedział ktoś, kiedy dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi. - Chyba dobrze to przyjęł.

- Inteligentny.

- Ale zapominalski - stwierdził gospodarz, nagle spostrzegając coś obok krzesła, na którym siedział nowo przybyły. - Zostawił teczkę.

- Może to sugestia, żebyśmy przemyśleli temat jeszcze raz - zażartował ktoś.

Eksplozja położyła kres wybuchowi wesołości.

Mężczyzna z rogu ulicy przyglądał się, jak jęzory żółtych płomieni strzelają z powybijanych okien, a szkło sypie się na Rue de Bagneux. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

- Po starych - powiedział.

- I wszystko przed nowymi - brzmiała odpowiedź.



# 1

Doktor Steven Dunbar otworzył jedno oko i sprawdził godzinę na budziku przy łóżku. Za dwadzieścia siódma, pięć minut do pobudki – programu „Today” w radiowej Czwórcy; od niego miał się zacząć dzień.

– Znowu praca i zabawa. – Westchnął, patrząc w sufit. Przypomniawszy sobie bez entuzjazmu, że to poniedziałek.

– Która godzina? – zapytała Tally zasnętym głosem.

– Dwie minuty do startu w kolejny przeładowany dzień z życia Stevena Dunbara, konsultanta nadzwyczajnego do spraw bezpieczeństwa.

– Wstajesz pierwszy – stwierdziła Tally. – Mogę pojechać do szpitala po dziesiątej, ostatniego wieczoru siedziałam tam do jedenastej.

– Zauważyłem.

Otworzyła oczy.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? – zapytała. – Jesteś bardziej rozdrażniony niż zazwyczaj.

– To dar.

Dołączył do nich głos Johna Humprysa. Dziennikarz dokładał jakiemuś nieszczęsnemu politykowi, który z determinacją próbował unikać jasnej odpowiedzi na pytania.

– Dobierz mu się do skóry, John, chłopie – mruknął Steven. Przerzucił nogi przez brzeg łóżka i usiadł. – To sami oszuści.

Tally sięgnęła ręką do jego nagiego barku.

– Hej, o co chodzi?

- Och... nic. Wiesz, że rano zawsze jestem zrzędlivy. Odwrócił się, pochylił i pocałował ją w czoło, potem usiadł na brzegu łóżka i zaczął słuchać audycji.

- A teraz dobre wiadomości - mówił Humprys. - BBC dowiedziało się, że negocjacje prowadzone przez międzypartyjną grupę polityków pod przywództwem rzecznika zdrowia Normana Travisa, wywodzącego się z partii konserwatystów, z szefami kilku międzynarodowych spółek farmaceutycznych doprowadziły do porozumienia w sprawie produkcji szczepionek w Zjednoczonym Królestwie. Bez względu na to, która partia zostanie zwycięzcą w zbliżających się wyborach, spółki pozwolą na masową produkcję swoich preparatów w zakładach zaakceptowanych i licencjonowanych przez obecnie sprawujący władzę rząd. Dzięki temu szczepionki będą ogólnodostępne i łatwiej będzie je dystrybuować w razie potrzeby. Porozumienie to skutecznie zakończy spory między rządem a przemysłem farmaceutycznym w czasach, kiedy na co dzień towarzyszy nam groźba zamachów bioterrorystycznych. Travis chętnie podkreślił, że polityka partyjna nie odegrała roli w negocjacjach i że to, co zostało osiągnięte, uczyniono dla dobra całego narodu.

- Ciekawe, co spółki dostaną w zamian - mruknął Steven.

- A co zyskają na tym porozumieniu spółki farmaceutyczne?  
- zapytał Humprys.

- Bardziej życzliwe stosunki sprawią, że koncerny nie będą się musiały koncentrować na harmonogramach produkcyjnych, co pozwoli na rozwinięcie zakładów badawczych. Musimy zakończyć sprzeczki na temat testów i przepisów licencyjnych. Przemysł farmaceutyczny nie jest wrogiem. To terroryści są nim. Zagrożenie z ich strony

dotyczy nas wszystkich i dlatego w rozmowach ze spółkami farmaceutycznymi powinien przeważać duch kompromisu.

- Torysi wykonali pracę za was, prawda? - Humprys zwrócił się do rzecznika zdrowia laburzystów.

- Myślę, że pan Travis ma całkowitą rację. Nie powinniśmy wprowadzać w ten konflikt polityki partyjnej. To zbyt poważna sprawa i, jak powiedział, nowy plan wejdzie w życie bez względu na to, kto wygra zbliżające się wybory. Groźba terroryzmu powinna zmienić nasze myślenie. Dlatego właśnie zachęcamy do przedstawiania ofert przetargowych przed wyborami, żeby szczepionki były dostępne jak najszybciej.

- Czy to znaczy, że ustąpiliście także przed żądaniami spółek?

- Rozpatrzyliśmy ich wnioski w świetle tego, co już zostało powiedziane.

- Hm... Co za dzień! - zagruchał Humprys. - Konserwatyści i laburzyści piją sobie z dzióbek tuż przed nadchodzącymi wyborami. Kto by pomyślał? Chciałbym się dowiedzieć więcej, ale kończy nam się czas. Przechodzimy do prognozy pogody...

Steven wyłączył radio.

- Nareszcie - stwierdził. - Sytuacja ze szczepionkami od lat była zwariowana.

- Ludzie chcą stuprocentowo pewnych szczepionek - powiedziała Tally. - Uważają to za swoje prawo.

- Oboje wiemy, że to niemożliwe - odparł. - Obawiam się, że trzeba będzie ataku terrorystycznego, żeby ta informacja do nich trafiła. Jeśli jest dostępna szczepionka, po prostu trzeba z niej korzystać. Boże, patrz, która godzina! Nie dostanę złotej gwiazdy na koniec miesiąca. - Wstał i poczłapał w stronę łazienki.

Tally, czyli doktor Natalie Simmons, patrzyła, jak Steven znika za drzwiami. Spodziewała się frustracji, którą okazywał. Kochał ją – nie miała co do tego wątpliwości – ale porzucił pracę, którą uwielbiał, żeby założyć z nią dom w Leicester. Nie była pewna, czy postąpił słusznie. Chciała wierzyć, że to przemyślane postanowienie, które powziął po długich rozważaniach wszystkich za i przeciw. Ale wiedziała, że jest inaczej. Steven był zły i rozczarowany, kiedy podawał się do dymisji. Jeśli miała być szczerą, chyba zdecydował się na to pod wpływem impulsu, bo rozczarowania nie omijały go w pracy od początku. Z drugiej strony – co nieco ją uspokajało – już kilka razy odrzucił prośby z Londynu, żeby przemyślał sprawę i wrócił.

Odkąd wyszedł z wojska, gdzie służył w Parachute Regiment, czyli w piechocie spadochronowej, i w siłach specjalnych, pracował jako śledczy w Inspektoracie Naukowo-Medycznym, małym wydziale podlegającym Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Prowadzono tam dochodzenia w sprawach, w których policji brakowało wiedzy – przestępstw z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy nauki i medycyny. Steven był dobry w tym, co robił, ale uprawiał niebezpieczny zawód. Nie raz mógł stracić życie. Tally spotkała go podczas jednego z dochodzeń i na własnej skórze odczuła, z jakim ryzykiem wiąże się ta praca. To ją wystraszyło, nie chciała nigdy więcej znaleźć się w takiej sytuacji. Ani nawet wiązać się z kimś, kto raz po raz ryzykował własne życie. Steven zakochał się w Tally. Na początku miał nadzieję, że ją przekona. Że wytłumaczy, iż niebezpieczeństwo wcale nie jest nieodłącznym składnikiem jego zawodu. Że da się połączyć jego karierę zawodową w Inspektoracie Naukowo-Medycznym z ich związkiem. Ale Tally też sporo zainwestowała we własną pracę i właśnie była w trakcie

specjalizacji na pediatrii, w szpitalu dziecięcym w Leicester. Dlatego pozostała nieugięta. Oświadczyła, że nie może żyć w ciągłym strachu o partnera, który igra z niebezpieczeństwem każdego dnia. Dała Stevenowi jasno do zrozumienia, że taka niepewność nie może stanowić fundamentu związku. W końcu ich to rozdzieliło.

Jakiś czas później Steven podał się do dymisji. Zdarzyło się to tuż po tym, jak rozczarował go wynik ostatniego zadania, które mu przydzielono. Winowajcom wszystko uszło na sucho, a umorzenie sprawy tłumaczono interesem publicznym – przynajmniej tak to widział Steven. Skontaktował się z Tally. Opowiedział jej o wszystkim i zapewnił ją, że nie wróci do tego bajzlu. I że nigdy nie przestał jej kochać. Czy rozważyłaby wspólne życie z nim, jeśli odejdzie z inspektoratu? Zgodziła się bez wahania. Zaproponowała też, żeby przyjechał i zamieszkał z nią w Leicester, kiedy będzie szukał nowego zajęcia. Dzięki temu przynajmniej jedno z nich będzie miało pracę.

Steven był wykwalifikowanym lekarzem i specjalistą w zakresie medycyny pola walki. Wiedział jednak, że nie tak łatwo mu będzie odnaleźć się w medycynie cywilnej, tym bardziej że wcześniej nie miał z nią nic wspólnego. Wstąpił do wojska – co zawsze chciał zrobić – ledwie ukończył roczną praktykę szpitalną po uniwersytecie. Był jednym z tych studentów, których do studiów medycznych nakłonili ambitni rodzice i nauczyciele. W przeciwieństwie do wielu, znalazł odwagę, żeby się zbuntować, zanim ten wybór mógł nieodwołalnie zaważyć na jego życiu.

Teraz, głównie dlatego, że potrzebował pracy, przyjął posadę konsultanta do spraw bezpieczeństwa w spółce farmaceutycznej. Laboratoria badawcze, którymi się zajmował, były zlokalizowane w parku naukowym

należącym częściowo do uniwersytetu w Leicester, a kwestie bezpieczeństwa dotyczyły bardziej spraw intelektualnych niż pilnowania bram. Najistotniejsze, żeby projekty spółki ochronić przed wścibskim wzrokiem konkurencji. Dlatego Steven pilnie obserwował pracowników badawczych i personel pomocniczy – przeprowadzał dokładne badania środowiskowe i dbał, żeby przestrzegano umów, a każdy kontrakt zawierał klauzulę poufności. Szczególnie ten, podpisywany przez kogoś, kto zaczynał badania nad jakimś nowym specyfikiem. Wszystko to było bardzo ważne i bardzo nudne.

Steven robił, co w jego mocy, żeby nie myśleć o pracy w taki sposób. W końcu dzięki niej mógł zbudować nowe życie z Tally. Miał też nadzieję, że z czasem stabilna sytuacja życiowa pozwoli mu częściej widywać córkę, Jenny, i odegrać większą rolę w jej życiu. Steven był wcześniej żonaty z pielęgniarką, którą spotkał w Glasgow podczas jednego z pierwszych zadań wykonywanych dla Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Lisa zmarła na guza mózgu, kiedy Jenny była jeszcze niemowlęciem. Po śmierci żony – był to chyba najczarniejszy i najbardziej nieszczęśliwy okres w życiu Stevena – siostra Lisy, Sue, wraz ze swoim mężem, zabrali Jenny, żeby zamieszkała z nimi we wsi Glenvane w hrabstwie Dumfries. Od tego czasu córka Stevena wychowywała się z dwojgiem kuzynów, Peterem i Mary. Steven odwiedzał ją tak często, jak tylko mógł. Jeśli to było możliwe, nawet co drugi weekend.

Sue i jej mąż Richard, adwokat, zawsze zapewniali Stevena, że traktują Jenny jak własne dziecko i że może zostać z nimi, póki czuje się szczęśliwa. Napomknęli też, że oddanie jej po tylu latach byłoby dla nich wszystkich bolesnym przeżyciem – Jenny świetnie się zaaklimatyzowała

w szkole podstawowej. I chociaż Steven nadal marzył o domu, rodzinie i normalnym życiu, wiedział, że ostatecznie to Jenny zadecyduje. Podejrzewał też, że jego marzenie może się okazać nieosiągalne i że może wcale nie trzeba będzie prosić córki o dokonanie wyboru. Tally nie miała zamiaru zrezygnować z kariery. Drabina medycznych awansów prawie na pewno wymagałaby częstych przeprowadzek, gdyby zaczęła myśleć o stanowisku konsultanta. To nie byłoby dobre dla Jenny.

Steven widział, jak Tally spogląda na niego z ukosa podczas śniadania.

- O co chodzi?

- Zaczynasz żałować? - spytała.

- Czego?

- Do diabła, dobrze wiesz!

- Nawet przez chwilę nie żałowałem - odparł łagodnie Steven. - Podjąłem decyzję. Była właściwa. Kocham cię.

Tally nie dała się tak łatwo przekonać.

- Znam cię. Potrafię wyczuć, kiedy jesteś niespokojny, nerwowy, trochę nieszczęśliwy...

- Nie jestem nieszczęśliwy. Żyję z kobietą, którą kocham. Mam dobrą pracę. Słońce świeci. Jak mógłbym się z tego nie cieszyć?!

Tally uśmiechnęła się i postanowiła mu uwierzyć. Ale wiedziała, że to raczej kwestia tego, że chciała, aby jego słowa okazały się prawdziwe.

- Lepiej się zbieraj.

- Tak, nigdy nie wiadomo, kto może planować kradzież aspiryny... - Steven wstał od stołu.

Tally spojrzała na kubek z kawą. Znowu to samo. Lekki dystans, z jakim traktował pracę, świadczył o tym, że Steven nie szanuje ani obowiązków zawodowych, ani siebie jako osoby, której przyszło je wykonywać. Poważna sprawa. Będzie go to pożerało, póki



nie wytłumaczy mu, żeby popatrzył na tę kwestię z innego punktu widzenia. Jego praca wiąże się z wielką odpowiedzialnością, ale jak sprawić, żeby to dostrzegł? Większość ludzi nie musi przekonywać samych siebie ani innych, że ich praca jest istotna i warta zachodu. A jeśli nawet mają z tym jakiś problem, wystarczy, że dopisze się im odpowiednio brzmiący tytuł przed nazwiskiem na wizytówce. Ale Steven był inny. Naprawdę żył w innym świecie – na krawędzi, gdzie trzeba było stawiać czoła twardej rzeczywistości i nie było miejsca na bzdury i tak zwaną poprawę wizerunku. Służył w siłach specjalnych na całym świecie, działał w przerażających warunkach, w dżunglach i na pustyniach, ratował towarzyszy. Przywracał ich do życia, a czasem tracił.

Dochodzenia Inspektoratu Naukowo-Medycznego były, oczywiście, mniej ekstremalne i zazwyczaj nie przesądzały o czymś życiu lub śmierci, ale i tak wystawiały Stevena na niebezpieczeństwo. Nie raz stawał na drodze przestępcom, których nic nie mogło powstrzymać przed osiągnięciem celu. Jak przekonać takiego człowieka, że praca biurowa jest ważna w jego rozumieniu świata?

- Spróbuję wrócić do domu o rozsądnej porze – obiecała.  
- Może obejrzymy jakiś film?

Byle to nie było coś zwyczajnego, pomyślała.

- Dobry plan – odparł. - Do zobaczenia.

Wziął teczkę z korytarza i wyszedł do pracy. Zbiegł ze schodów, zamiast skorzystać z windy – starał się utrzymać kondycję, szczególnie teraz, kiedy większość czasu spędzał przykuty do biurka. Dotarł na parking i wsiadł do hondy crv, która zajęła miejsce porsche boxtera. Musiał go poświęcić, kiedy czekał z rządowymi zarobkami przestały napływać i zawisło nad nim straszliwe widmo bezrobocia. Przerwa w pracy trwała około miesiąca, ale uczucie nie było przyjemne.

Tak naprawdę nie sprzedał boxtera. Odstawił go na „zawieszone użytkowanie” do garażu stajni w Londynie, należącego do przyjaciela, Stana Silvera. Silver, który służył kiedyś piechocie spadochronowej – chociaż nie w tym samym czasie co Steven – dbał o porsche. To on zaproponował odstawienie wozu na jakiś czas, aż sprawy się wyklarują. Namówił Stevena na wynajęcie skromniejszego samochodu aż do czasu, gdy znajdzie jakąś pracę. Wtedy mieli wrócić do tematu. Co do porsche Steven jeszcze nie podjął decyzji. Ale zaczął płacić Stanowi za korzystanie z hondy.

To Tally proponowała, żeby wybrać hondę. Powiedziała, że to samochód rodzinny i jeśli Steven poważnie mówił o zmianach w swoim życiu... „Hm, popatrz na tę przestrzeń z tyłu...” Mój Boże, pomyślał, zaraz zaczę nosić swetry Pringla i grać w golfa. O nie, samobójstwo było wyżej na jego liście spraw do załatwienia niż golf. Honda zapaliła od razu. Zawsze tak, cholera, robiła.

Steven miał własne miejsce parkingowe z białą tablicą: SZEŹ OCHRONY. Zawsze uśmiechał się na ten widok. W jego świecie ostatnią rzeczą, jaką należało zrobić, było ogłaszanie, gdzie szef ochrony parkuje swój samochód. Ale wśród cywili, bez wątpienia, sprawy miały się inaczej, więc nie powiedział słowa na ten temat. A z tego, co zobaczył w ciągu trzech miesięcy pracy, nikt nie miał powodu, żeby zrobić mu krzywdę.

Jego biuro, na szóstym piętrze, było widne i przestronne. Wyposażono je w jasne meble i kilkanaście roślin w doniczkach. Szerokie okna miały weneckie rolety, niezbędne po południu, kiedy słońce prażyło prosto w twarz. Ranek był pochmurny i szary, więc Steven całkowicie rozsunął rolety i wyjrzał na kampus. Po drugiej stronie ludzie w białych kitlach ciężko pracowali w uniwersyteckich laboratoriach, doskonale widoczni

w ostrym, białym fluorescencyjnym świetle. Inni z pewnością biorą się do pracy na dolnych piętrach budynku, w którym Steven miał biuro.

Rozległo się pukanie do drzwi i zanim zdążył się odezwać, otworzyła je niska kobieta po trzydziestce, z włosami związanymi w prosty kok i w okularach w ciemnej oprawce na nosie – Rachel Collins z zespołu prawników spółki, specjalizująca się we własności intelektualnej. Miała gabinet po sąsiedzku. Uśmiechnęła się.

– Wydawało mi się, że słyszałam, jak przyszedłeś. Sprawdziłeś już pocztę?

– Nie.

– Dzisiaj o dziesiątej jest specjalne zebranie z zarządem. Kazali przyjść nam obojgu.

– Brzmi ekscytująco. – Głos Stevena sugerował coś zupełnie innego. – Może tam na dole odkryli lekarstwo na raka.

– Usłyszelibyśmy o tym – odparła z uśmiechem. – Tam-tam na korytarzu byłby jakąś wskazówką.

– Rachel, od jak dawna pracujesz dla Ultramedu?

– Jedenaście lat. Dlaczego pytasz?

– Nadal próbuję wczuć się w sprawy. Dokonano jakichś wielkich odkryć w tym czasie?

Rachel wykrzywiła się, szukając alternatywy dla „nie”.

– Nie mogę uczciwie powiedzieć, żeby się tu słyszało o jakichkolwiek przełomowych dokonaniach – odpowiedziała, akcentując słowo „przełomowych”. – Mnóstwo małych spraw, coś na niestrawność, środki na stopę atlety, pigułki na katar sienny. Chleb powszedni, prawdę mówiąc. Nic szczególnie lepszego od preparatów, które zastąpiono odkrytymi specyfikami. W każdym razie dało się zaprojektować nowe lśniące pudełka i wydać kasę

na kampanię reklamową dla lekarzy internistów. Żadnych kokosów z tego nie było.

- Domyślam się, że kokosy nie zdarzają się często.

- I dlatego lekarstwa są takie drogie - stwierdziła Rachel. - Mnóstwo badań, które prowadzą donikąd, a trzeba za nie płacić. Tak czy inaczej, widzimy się na zebraniu. - Odwróciła się, żeby wyjść, ale zatrzymała się przy drzwiach. - Jak ci się tu podoba? - Powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę nie знаła odpowiedzi.

- Jest fantastycznie - odparł Steven. - Absolutnie fantastycznie.

- To dobrze.

Wrócił do wyglądania przez okno i żałował, że to, co powiedział, nie było prawdą. Jego samopoczucie w pracy wydawało się tak dalekie od „absolutnie fantastycznego”, jak to tylko możliwe. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie trudno. Zrobił, co mógł, żeby przygotować się na zawód i rozczarowanie, o których wiedział, że muszą przyjść. Czuł się jak zwierzę złapane w potrzask, ale od samego początku miał świadomość, że coś takiego może mu się przydarzyć. Postanowił nie poddać się temu uczuciu, mimo że miał teraz wielką ochotę zbiec po schodach, wypaść na wolność przez frontowe drzwi i iść przed siebie, póki nie padnie ze zmęczenia.

Pierwszym antidotum było rozmyślanie o pozytywach. O Tally, o życiu, które razem prowadzili i nadal będą prowadzić. O Jenny, jego małej dziewczynce, której ojciec ma teraz zwyczajny, godny szacunku zawód, a nie mogący sprawić, że córka stanie się sierotą. Drugą odtrutką było przypomnienie sobie, co zmusiło go do zrezygnowania z Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Latami w Stevenie narastało przekonanie, że ludzie, dla których pracuje, nie są tak kryształowo czysti, jak mu się wydawało na początku. Że w ogóle nie ma już prawych i porządných

ludzi, tylko tacy, którzy mniej lub bardziej kłamią – odcienie pośrednie między bielą a czernią, skala szarości. Że rząd tego kraju demokracją nazywa labirynt ukrytych motywów, alternatywnych programów, przetargów prowadzonych przez bandę chciwych, wyrachowanych typków, których miłość własna nie zna granic, a obowiązki ograniczają się do zapewnienia dobrobytu im samym.

Wreszcie znalazł się daleko od nich wszystkich, od ich pokrętnych machinacji. Ale brakowało mu wyzwania, jakie dzień w dzień stawiała przed nim dawna praca. Tego, jak rozgryzał zamiary oszustów i krętaczy, a potem walki z przestępcami. Ktoś w SAS powiedział mu kiedyś, że nikt nie wie, że żyje, dopóki nie stanie na krawędzi śmierci. I miał rację. Każdy, kto przez długi czas doświadczał niebezpieczeństwa, zna to uczucie, tę wzmożoną świadomość własnego istnienia, którą symulować mogą chyba tylko narkotyki. Kiedy to się kończy, odczuwasz ulgę, ale jeśli po jakimś czasie nie wróci, zaczynasz tęsknić za adrenaliną. I to bardzo. Kierowcy Formuły 1, alpiniści, narciarze, wszyscy oni wiedzą, jak to jest. Przejście w stan spoczynku może się wydawać dobrym pomysłem, ale po jakimś roku... Boże, ależ się tęskni! I po prostu musi się wrócić.

Plan Stevena polegał na tym, żeby myśleć o służbie w wojsku i pracy w inspektoracie jak o uzależnieniu od narkotyków, z którego teraz wychodził. Nie będzie łatwo, ale da się zrobić. Musi tylko utrzymać podenerwowanie i zły humor pod kontrolą, na czas walki z demonami. W końcu zwycięży i stanie się lepszym człowiekiem, zadowolonym mężem Tally – jeśli będzie go takiego chciała – i troskliwym ojcem Jenny, nawet jeśli córka postanowi zostać na północy z rodziną ciotki. Wrócił do komputera i przeczytał mejl, żeby sprawdzić szczegóły spotkania.

*Inspektorat Naukowo-Medyczny,  
Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Londyn*

Mam na linii Charliego Malloya, sir John – powiedział głos Jean Roberts, sekretarki, z głośnika na biurku Johna Macmillana.

- Daj go.

- John? Chyba nie będę miał dzisiaj czasu na lunch. Właśnie coś się pojawiło.

- Co za szkoda, Charlie. Nie mogłem się doczekać kolejnego spotkania z tobą. Wieki się nie widzieliśmy.

- Masz rację – zgodził się Malloy. – Ale skontaktowały się ze mną władze francuskie. Słyszałeś coś może o wybuchu gazu w Paryżu?

- Coś czytałem w gazetach.

- Okazuje się, że to nie gaz tylko bomba. I wygląda na to, że przynajmniej część ofiar to nasi obywatele. Podczas porządkowania znaleziono fragmenty brytyjskich paszportów

- Ach... – westchnął Macmillan. – Właśnie dostałeś cudzy bałagan do ogarnięcia. Jakież pomysły, co tam się mogło stać?

- Jeszcze nie, ale paryska policja sprawdziła, że mieszkanie wynajął Anglik o nazwisku Charles French. Najwyraźniej nie po raz pierwszy, według agencji wynajmu. Korzystał z tego mieszkania kilka razy, kiedy był w Paryżu w interesach.

- Co to mogły być za interesy?

- Agencja nie ma powodów, żeby o to pytać. Ale porównaliśmy nazwisko z raportem o osobach zaginionych. Być może to Charles French, dyrektor generalny Deltasoft Computing, absolwent Cambridge, podpora społeczności, według wszelkich danych.

- Jakież wnioski po badaniu pozostałości paszportów?

- Jak do tej pory udało nam się zidentyfikować jedną osobę. Został wystarczający kawałek nazwiska, żeby dopasować je do lady Antonii Freeman, która zniknęła ze swojego letniego domu w południowej Francji, niedaleko Saint-Raphael, gdzie zazwyczaj spędzała zimowe miesiące. Jej gospoia zgłosiła zaginięcie, najwyraźniej nie miała pojęcia, że pani pojechała do Paryża.

- Dziwne. Jeszcze raz, jakie to nazwisko?

- Antonia Freeman.

- Coś mi świta...

- Daj mi znać, jak ci się coś przypomni - poprosił Malloy.

- Myślę, że jedyne, co możemy zrobić, to porównywanie tego, co mamy, z kontrolą paszportową i raportami o zaginionych. Tak czy inaczej, przykro mi z powodu lunchu. Może przełożymy go na przyszły tydzień?

- Da się zrobić - obiecał Macmillan. - Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć więcej.

Nacisnął guzik intercomu.

- Jean, przełożyłem lunch z Malloyem na przyszły tydzień, ten sam dzień i godzina.

- Wpiszę to do kalendarza, sir John. Mogę pójść na lunch?

- Oczywiście.

- Proszę nie zapomnieć, o wpół do trzeciej ma pan zebranie rekrutacyjne.

- A, tak. Dziękuję, Jean.

Macmillan wstał i podszedł do okna, żeby popatrzeć na deszcz. Myślał o spotkaniu, o którym przypomniała

mu Jean. Unikał zastanawiania się, kto zajmie miejsce Stevena Dunbara, aż stało się całkowicie jasne, że były podwładny nie wróci. Niestety, musiał się tym wreszcie zająć. Steven dwukrotnie odrzucił propozycję pracy i nadal wydawał się nieugięty co do powrotu. Macmillan oczywiście wiedział, dlaczego były pracownik jest taki uparty, i rozumiał jego frustrację. Steven zbyt często widział, jak winni bezkarnie unikali odpowiedzialności – Macmillan sam tego nie znosił – ale przecież Dunbar, mimo gniewu, musiał rozumieć, dlaczego nie można było wniesć oskarżeń na koniec ostatniego śledztwa. Po prostu nie leżało to w interesie narodowym. Był pewien, że w końcu Steven wróci. W przeszłości zawsze tak robił. Ale wyglądało na to, że nie tym razem. Pracował teraz jako konsultant do spraw bezpieczeństwa, mieszkał w Leicester. Boże, co za strata!

Inspektorat Naukowo-Medyczny był dzieckiem Macmillana. Dostrzegł konieczność innego podejścia do prowadzenia dochodzeń w świecie zaawansowanych technologii. Owszem, policja dysponowała specjalnymi oddziałami, takimi jak te, które zajmowały się fałszerstwami i przestępstwami w świecie sztuki. Ale jeśli chodziło o naukę i medycynę, brakowało im wiedzy. Parę lat zajęło mu przekonanie rządu, że taka jednostka jest potrzebna i że powinna być niezależna, aż w końcu mu się udało. Inspektorat działał od piętnastu lat.

Był to bez wątpienia sukces, co musiało przyznać kilka rządów, chociaż każdy kolejny premier i jego otoczenie woleliby pewnie, żeby inspektorat okazał się mniej niezależny w przypadkach, kiedy sukces przynosił także zażenowanie, a wielkich tego kraju demaskowano jako miernoty. A że to zażenowanie nie było ograniczone do jednej partii, dokonania przemawiały na korzyść inspektoratu. Każda próba władz, by podciąć skrzydła jednostki, była ostro krytykowana przez opozycję Jej